

Jak tō się stało.

Nan Arnold przyniósł do domu duży podłużny przedmiot, owinięty w papier, i z ożywieniem, ku wielkiej radości zaintrygowanych dzieci, rozpakował go. Był to ręczny aparat do gaszenia ognia „Excelsior”.

— Tu się naciska i momentalnie... piasek, rozumiesz?

— Rozumiem, — odparła pani Arnoldowa — ale co ci odrazu do głowy strzeliło kupować coś podobnego?...

— Epidemja pożarów. W razie czego... Tru-tu—tru-tu... Józiu, jak strażacy jadą?

— Tlu-tu—tlu-tu — trąbi Józio.

Błyszczące oczy pana Arnolda zeszywniały nagle — i mruknały.

Ogromną, ogromną troską patrzyły te same, co wczoraj, niebieskie tapety.

— Co ci jest?

— Eee... bo wy wszyscy... tacy...

Łapczywie, głośno mlaskając, jadł zupę...

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie i upominał się o krawat, którego nikt w domu nie pamiętał.

I wyszedł zły. I wrócił z barometrem.

Nieprzyjaźnie szara była kamienica, w której mieszkał brat pani Arnoldowej. Zastalała go na podwórzu.

Nie chciało mu się iść, lecz poszedł. Gdy weszli do pokoju, gdzie troską ogromną patrzyły te same, co wczoraj, niebieskie tapety, pan Arnold płakał.

Starali się, jak mogli, wytłumaczyć mu, że takiego krawata nie miał nigdy... że poszukają zresztą... żeby się uspokoił, lecz on pod szafą szukał... i pod dywanem... i płakał... i płakał... i o krzesło się uderzył... i za uderzony łokieć się trzymał i płakał, na czworakach...

A już wieczorem krzyczał strasznie, że w amplii kręci się Bóg! — — —

Juljan Tuwim.

Bies i księżyc.



Jest chuda, ciemna pani. Wstaje zwykle wcześniej, siada przy oknie i wygląda na ulicę, podparwszy kościstą ręką ostry podbródek. Za podwójnymi szybami kołyszą się kasztany. Tam jest jesień.

Drżącym brzękiem, szybko, lekliwie bije zegar godziny. Po obiedzie słońce rozlewa się po ulicy, rozlewa się męczącą wzrok złocistością. Błyszczą metalowe gałki na parkanie ogrodu. Sterczą nieruchomo ozłoczone kasztany.

A wieczorem przychodzi garbus w okrągłych okularach, głowę na bok przechyla, ręce zaciera. „Paniusia jak zwykle, co? Trzeba zapomnieć, trzeba się uspokoić! Taki to już bieg tego świata, paniusiu-dobrodziejko!...” Chuda, ciemna pani uśmiecha się po raz pierwszy... „Oh, mon docteur! Zresztą... zaczniemy?” — „Ano chyba, jak pan Bóg przykazał”, rozplywa się garbus w ukłonie.

Na palcach wchodzi lokaj, zapala świece na fortepianie... A ci zaczynają grać — na cztery ręce — jakieś wzniosłe tragiczne psalmedje genialnego mistrza — i w żółtym świetle świec skaczą dwie pary rąk po klawiaturze...

Wtedy właśnie Bies wpływa do pokoju na promieniu księżycy, przykucuje w kącie i słucha i słucha...

Juljan Tuwim.